

JEDNOŚLADEM POGLOBIE

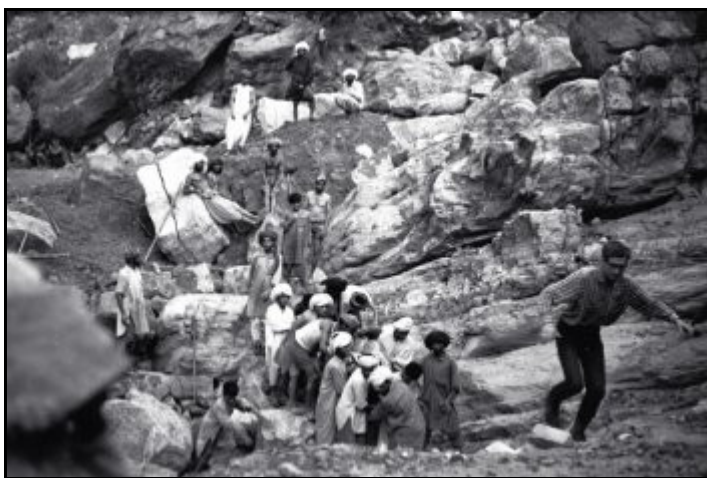
Czyli wyprawa pierwsza do Singapuru – 1973 rok



Początek 1973 roku, dla Marka Michela, studenta III-go roku Akademii Rolniczej w Krakowie, to okres realizacji swoich planów dotyczącej wyprawy motocyklem za granicę. Chce wcielić w czyn to, o czym tak dawno marzył. Jego zamiarem jest pojechać przez terytorium Rosji (ówczesny ZSSR – przyp. autora) do Władywostoku. Pierwotnie nie zamierza jechać samotnie. Namawia wielu kolegów lubiących sport motocyklowy. Jeden z nich był nawet chętny na wyjazd, ale i on pod namową rodziny się wycofał. Zwyciężył strach, zwykły ludzki strach

przed nieznanym. Mimo to Marek nie rezygnuje. Decyduje się pojechać sam, może tak nie do końca zdając sobie sprawę z niebezpieczeństw które mogą go spotkać na trasie. Jest pełen entuzjazmu, żądny wrażeń i długich podróży, oczywiście na jednoślędzie. Doskonale jednak wie, że na swoim wysłużonym motocyklu, nie będzie zdolny pokonać tak długiej trasy.

Udaje się więc do Fabryki Motocykli WSK w Świdniku. Początkowo trafia na nieufność i brak wiary w pomysłość tej wyprawy. Marek cierpliwie po raz kolejny wyjaśnia swój plan, przekonywując ostatecznie dyrekcję, że jego plan jest realny i możliwy do wykonania. Ostatecznie dostaje od WSK fabrycznie nowy seryjny motocykl-WSK-125 ccm. Do niego fabryka zamontowuje dwa zamknięte pojemniki i cały motocykl maluje na żółto zgodnie z sugestią Marka (lepiej będzie widoczny na drodze aniżeli czarny). Na jednej z tych skrzyni jest namalowany napis: Kraków-Delhi-Singapur, który nie pozostawia wątpliwości dokąd się Marek wybiera. Dostaje też trochę zapasowych części. Marek, jako doskonały mechanik wyszczególnia które jeszcze części są konieczne. Otrzymuje je już bez zbędnych dyskusji. Zabiera ze sobą także zapasowy 2-litrowy kanister jako rezerwę na szczególne sytuacje. Przed wyprawą chce jeszcze trochę „objeździć” motocykl, aby ewentualnie usunąć wszelkie usterki.



Na początku czerwca jest już gotowy do wyjazdu. I kiedy wydawałoby się, że pozostaje mu tylko ustalenie terminu wyjazdu, dostaje odpowiedź z ambasady Rosji na jego wniosek o wizę. Decyzja ambasadora jest ogromnie zaskakująca dla niego. Może jechać przez całe terytorium aż do Władywostoku ale pod warunkiem, że on i motocykl będą podróżowali.....pociągiem. Dla Marka ten warunek jest nie do przyjęcia. Musi więc zrezygnować z podróży motocyklem do Władywostoku, ale myśl ta nigdy go nie opuści. Przejazd

przez Rosję staje się jego priorytetem, choć aktualnie niemożliwym do zrealizowania. Przejedzie ostatecznie przez nią, ale znacznie, znacznie później. Zmienia więc plany, decydując się na przejazd przez terytorium Czechosłowacji, Węgier, Rumuni, Bułgarii, Turcji, Iranu, Afganistanu, Pakistanu i Indii aż do Singapuru. Opóźnia to nieco jego

eskapadę na początek lipca (planował wyruszyć w połowie czerwca). Zabiera ze sobą równowartość \$105, bo tyle może wywieźć według obowiązujących wówczas przepisów dewizowych. Wie, że to nie wystarczy. Zabiera ze sobą 100 zmodyfikowanych przez siebie zegarków (drzemie w nim „żyłka” wynalazcy), które kiedyś kupił tanio w byłej NRD (Niemiecka Republika Demokratyczna - przyp. autora). W Turcji sprzedawał je po \$3 a w Iranie po \$10-15. Wyraźnie podreperowało to jego budżet który i tak okazał się niewystarczający. I oto nadchodzi dzień o którym marzył latami. W dniu 14-go lipca 1973 roku, na rynku w jego ukochanym Krakowie, żegna go grupa znajomych i przypadkowych przechodniów. Zapamiętuje najbardziej tylko łzy na obliczu swej matki, która przeżywa jego wyjazd z wielkim niepokojem o jego los. Warkot motoru odbija się echem od murów starych krakowskich kamieniczek, spoglądających na to wydarzenie i najzupełniej obojętnie. Kieruje się w stronę granicy z Czechosłowacją, którą jak i kolejne kraje tzw. obozu socjalistycznego przejeżdża bez specjalnych wrażeń.



Przez most na cieśninie Bosfor, wjeżdża do Turcji która ze swoimi minaretami, zabytkami specyficznym nastrojem targowisk i nawoływaniem do modlitw wyznawców Mahometa, robi na nim bardzo duże wrażenie. Postanawia zatrzymać się w niej parę dni, aby móc zwiedzić przynajmniej te najciekawsze zabytki, bo na szczegółowe zwiedzanie nie ma absolutnie czasu. Przejeżdża koło góry Ararat znanej z Biblii i Arki Noego. Wszystko dla niego jest nowe, egzotyczne przesiąknięte na wkróś wschodem i orientalistyką. Stara się wszystko zobaczyć, zapamiętać ale nie

jest to możliwe, gdyż każdy następny dzień, przynosi nową porcję kolejnych wrażeń. To tu w Turcji „dopadły” go upały które bardzo dokuczają mu w dzień, ale za to w nocy pozwalają spać pod gołym niebem, koło motocykla, bez konieczności rozbijania maleńkiego namiotu. Zresztą stara się nie spać w namiocie. Ostrzegano go, że jest to bardzo niebezpieczne, bo łatwo może być „zwinięty” weń bez możliwości jakiegokolwiek obrony i ujrzenia napastnika. A ludzi chcących go okraść spotkać można wszędzie, szczególnie kiedy skrajna bieda usuwa z nich wszelkie bariery i zahamowania moralne. Ale spotyka też wiele dobrych ludzi, szczególnie na wioskach. Zapraszają go do siebie na nocleg, niekiedy korzysta z ich gościnności. Swoim wrodzonym optymizmem i radością życia, bardzo łatwo zjednuje sobie ich życzliwość. W Turcji też mam przez trzy dni problemy z biegunką z którą się „uporał” po zjedzeniu dużej ilości pastylek „węgla drzewnego”. Czas ponagla do dalszej drogi. Opuszcza z żalem Turcję, wjeżdżając do Iranu który jest kolejnym etapem jego podróży. Przejeżdża go bez zbyt wielu postojów. To w tym kraju spotyka go tragikomiczna sytuacja, kiedy (tuż po minięciu granicy z Turcją) po podjechaniu na stację benzynową, dowiaduje się od sprzedawcy, że nie będzie mu mógł wydać reszty ze \$100 gdyż nie ma on dolarów. Może mu dać benzynę i wziąć cały



banknot, ale dla Marka Michela jest to nie do zaakceptowania. Sytuacja wdaje się bez wyjścia. Chodzi po stacji i myśli intensywnie co ma w tej sytuacji zrobić. „Chyba opaczność czuwała nade mną, bo po chwili znalazłem na ziemi lokalne pieniądze”-stwierdza Marek. Wystarczyło na zatankowanie. Kolejny kraj na jego trasie to Afganistan.

Bardzo biedny kraj, ale ludzie bardzo życzliwi. Tempo jazdy maleje, gdyż większość dróg nie mieści się w żadnej klasie, nawet tej najniższej. Na jednej z dróg ułożonych z płyt

betonowych (bardzo zniszczonych) „wysiadają” mu amortyzatory. Nie ma zapasowych i musi na takich dojechać do Indii gdzie znajduje się fabryka motocykli na licencji WSK Świdnik. Motocykle w niej produkowane (WSK 175) sprzedawane są pod nazwą „Ambassador”. Cieszą się wówczas tam dobrą marką i co drugi motocykl wówczas na drogach w Indii był właśnie tej marki. Śpi pod gołym niebem. Najczęściej w wioskach, aby było bezpieczniej choć wieczorem „uwiązuje się” żyłką (zamaskowaną w nogawce od spodni) do motocykla, aby nie ukradziono mu tej najcenniejszej rzeczy. Aby mógł rano jechać dalej. Bo bez WSK-i nastąpiłby kres jego marzeń o dojeździe do Singapuru i z powrotem. I tylko to mogłoby go załamać. Reszta się nie liczyła, nawet niebezpieczeństwa czuchające na jego jakikolwiek nieostrożny ruch. „Nie odczuwałem nigdy strachu”-mówi mi Marek podczas jednej z kolejnych rozmów telefonicznych. „Wierzyłem, że ludzie są dobrzy i nie zrobią mi krzywdy, choć nieraz byłem w trudnej sytuacji. Ponadto codziennie spotykałem się z nowymi wrażeniami, że nie miałem czasu nawet o tym myśleć. Jestem życiowym optymistą” – dodaje śmiejąc się szczerze. Najbardziej bał się złapania bakterii o nazwie ameba, która w Krajach Bliskiego i Dalekiego Wschodu a także w krajach Afryki, żyje zazwyczaj w wodzie lub zanieczyszczonym pokarmie. Dlatego wszędzie gdzie tylko spotyka ludzi, prosi o przegotowaną wodę, aby naparzyć sobie herbaty, także na zaoas, którą przechowuje w małym plastikowym bidonie. Jeżeli nie ma możliwości picia przegotowanej wody to pije tylko z kranu po uprzednim dodaniu do niej pastylek przeciwko amebie i innym bakteriom pokarmowym. Chleb jeżeli to tylko było możliwe, starał się kupować bezpośrednio w piekarni, bo ten sprzedawany w sklepach był opakowany i transportowany w warunkach urągających jakimkolwiek przepisom sanitarnym. Owoce, jedzenie kupowane w tanich sklepikach, to podstawa jego zaopatrzenia. Nie stać go oczywiście na jedzenie w restauracjach, nawet tych najtańszych, w Pakistanie lub Indiach. W Kabulu, w polskiej ambasadzie ma przyjemność spotkać Andrzeja Zawadę, który dowodził kolejną wyprawą w Himalaje, a na terenie ambasady wyprawa miała jedną z baz.



Suche powietrze w Iranie i Afganistanie oraz pęd powietrza podczas jazdy motocyklem powodują, że wargi ma popękane, lekko krwawiące z niegojących się ran. Nie ma już kremu. Owija częściowo twarz i usta mokrym ręcznikiem. Trochę to pomaga. Na granicę z Pakistanem dojeżdża późnym popołudniem. Przy odprawie nie odstępował motocykla ani na minutę i szczególnie uważa nacelników. Uprzedzono go jeszcze w Polsce, iż mogą mu podrzucić ...narkotyki. A kary za nie są bardzo surowe. Na horrendalnie wysoką łapówkę (dla

celników oczywiście) z pewnością nie byłoby go stać. Pobyt w więzieniu w tamtym kraju, w tamtym czasie, równa się praktycznie wyrokowi śmierci. Przygodni ludzie na granicy uprzedzają go, aby jednak nie jechał o zmierzchu dalej, gdyż jest to niebezpieczne. Postanawia jednak jechać, aby po kilkunastu kilometrach wrócić z powrotem kiedy na drodze, w bezludnym terenie, widzi z daleka grupę mężczyzn. Noc spędza na granicy. Ta pora roku to okres deszczów monsunowych. Z regularnością zegarka, o 1-2 po południu zaczyna się dwu, trzygodzinna ulewa, po której nie sposób jest jechać motocyklem. Czasem czeka parę godzin, aż droga obeschnie a czasem aż do rana. Któregoś dnia podczas takiej ulewy zabłądził i wjechał na jakąś boczną nieutwardzoną drogę. Nie był w stanie utrzymać równowagi, ale i też nie miał siły wyciągnąć motocykla z błota. Po kilkunastu godzinach pomogli mu miejscowi wieśniacy.



Mógł jechać dalej, do Indii, które zaskakują go jeszcze inną kulturą obyczajami i stoickim podejściem do życia aniżeli w krajach muzułmańskich.. Tak jak i w Pakistanie, wiele rodzin spędza całe życie na uliczkach, na sznurkowym łożku, z reguła blisko rynsztoka. Poznaje w takim „domu” rodzinę hinduską z czworgiem dzieci. Są bardzo biedni, ale jednocześnie bardzo szczęśliwi. Nie skarżą się na nikogo i nikogo nie obwiniają za swoją sytuację społeczną. Miłość małżonków jest delikatnie skrywana, ale jakżesz prawdziwa i gorąca. To kolejne wrażenie które wynosi z Indii. Omija duże miasta. W Faribadad gdzie produkowane są „indyjskie” WSK, w fabryce, wymieniają mu amortyzatory – bezpłatnie z uśmiechem i życzliwością na ustach. Może teraz szybciej jechać dalej. Niestety nie za daleko, gdyż w tym czasie indie nawiedziła wyjątkowo ogromna powódź. Dociera do Gangesu, który wylał z brzegów na szerokość 15-20 km. Jest całkowicie nieprzejezdny. Zmętniała woda niesie na nurcie wszystko, nawet zwłoki utopionych ludzi i krów. Czekają dwa tygodnie- bezskutecznie. Woda w rzece nie opada. Wojsko ofiarowuje się przewieźć jego i motocykl helikopterem na drugą stronę.

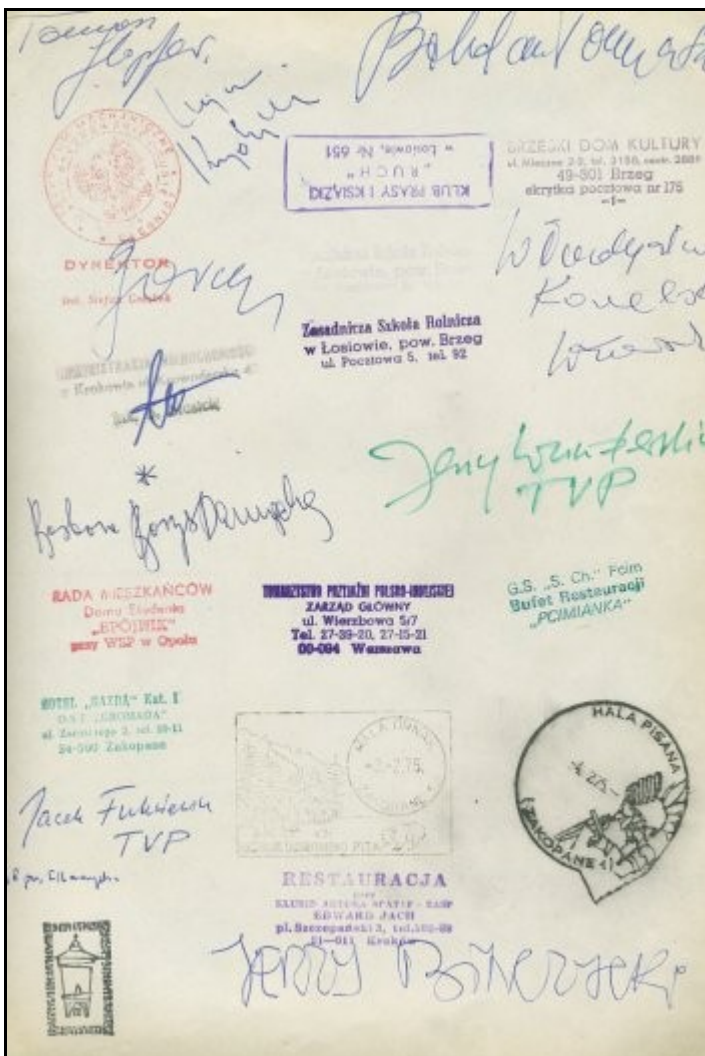
Ale potem jest następna rzeka, która wylała równie szeroko jak Ganges. Powoli dociera do niego świadomość, że to kres jego planów dotarcia do Singapuru. Trudno mu podjąć decyzję powrotu, ale nie ma innego wyjścia. Musi wracać. Ponieważ jego wyprawa została skrócona przez naturę, zostało mu jeszcze dużo czasu. Postanawia więc nie wracać tą samą trasą. Zamierza wrócić do Polski przez.....Paryż. Przed wyjazdem z Indii chce zwiedzić New Delhi. Kontaktuje się z polską ambasadą. Jest serdecznie przyjmowany przez ówczesnego ambasadora, Wiktora Kineckiego, byłego naczelnika ZHP (Związku Harcerstwa Polskiego). Któregoś dnia wybrali się razem na ryby-pozostało pamiątkowe zdjęcie. Zauroczony tym krajem, po miesiącu pobytu, z żalem go opuszcza kierując się w drogę powrotną przez Pakistan i Iran. Nie chce jechać przez Afganistan, choć uprzedzono go, że trasa którą obrał przez Iran nie posiada skończonej drogi. Z mapy wynika, że droga jest więc postanawia jednak jechać tą trasą. Po ujechaniu około 200-tu kilometrów zabłądził w górach. Wrócić nie może, nie wystarczy mu benzyny. Kieruje się na zachód aby po paru kilometrach trafić na zwałisko kamieni tarasujące drogę na długości około 400-tu metrów. O przejeździe motocyklem czy nawet o jego przeprowadzeniu, nie ma nawet co marzyć. Sytuacja wydaje się groźna i bardzo niebezpieczna. Jest sam w dzikim górskim terenie, i nie ma drogi odwrotu. Wielu załamałoby się całkowicie. Ale nie Marek, który bez mała na czworakach bada całe zwałisko i około 2 km dróżki za nim. Podejmuje decyzję. Będzierozkrecał motocykl i przenosił go w częściach.(!) Osobno koła, rama, silnik, oprzyrządowanie i bagaż. „Nadmień, że zajęło mi to dwa dni z krótkimi przerwami na nocleg i kiedy już przeniosłem wszystko na drugą stronę, tuż przed zachodem słońca i złożyłem motocykl to padłem na kawałku asfaltu jak kłoda” – relacjonuje Marek Michel. Nie miałem siły na to aby rozbić namiot. Śpi w kombinezonie pod gołym niebem kilkanaście godzin. Budzi go mocno już grzejące słońce. Rusza dalej. Nie ujechał jednak zbyt daleko, zaledwie 50 km, bo przed nimkolejne zwałisko kamieni na drodze – skutek lawiny skalnej. Tym razem dopisuje mu szczęście, bo przy oczyszczaniu drogi z kamieni pracuje dużo robotników. Wszyscy są chętni do przeniesienia jego motocykla na drugą stronę przez zwałisko skalne. Wybiera paru najsilniejszych, którzy niosą jego WSK-ę na rękach. Ma nadzieję, że nie upuszczą motocykla na głazy w trakcie przenoszenia. Tego by jego WSK-a chyba nie przetrzymała. Wszystko zakończyło się jednak szczęśliwie i wreszcie

mógł kontynuować podróż bez większych problemów przez Turcję, Bułgarię, Rumunię, Węgry, Czechosłowację, Austrię, Niemcy aż do Paryża. Podczas przejazdu przez Alpy, gubi rękawiczki, a wysoko w górach jest już bardzo zimno-pada śnieg. Ręce szybko dretwieją z zimna. Zakłada więc na nie ...skarpetki, które musiały mu zastąpić rękawiczki.



Tak jak to sobie zaplanował w Indiach, jego przyjazd to stolicy Francji, zbiegł się akurat z salonem motoryzacyjnym na którym Polska wystawiała samochody produkowane na licencji włoskiej, marki „ Fiat”. Do stoiska polskiego na tym salonie trafił też „prosto z trasy” motocykl Marka, zakurzony, który wzbudził ogromne zainteresowanie i powszechny podziw a kierowca (Marek Michel) gratulacje za przejechanie na nim tylu tysięcy kilometrów. A przecież na tej wystawie nie brakowało motocykli najwyższej klasy światowej wyprodukowanych

przez renomowane firmy. Ale to jego motocykl robi wielką furorę. Osobiste gratulacje odebrał także od ówczesnego prezydenta Francji – Georga Pompidou. W prasie jest wiele artykułów o nim. Jest także wywiad dla francuskiej telewizji.



Wystawę odwiedził także wielki gwiazdor kina francuskiego, Jean Paul Belmondo. Nie przypadkowo zresztą, gdyż jest on wielkim wielbicielem motocykli inie tylko. Płci pięknej także! Dobrym angielskim zapytał Marka, o zgodę na przejechanie się „wueską”. Przez pierwsze kilka minut „zapoznawał” się z maszyną a potem pokazał wspaniałe opanowanie motocykla i wspaniały styl jazdy połączony z lekką brawurą. Marek bardzo wysoko ocenia jego umiejętność jazdy na motocyklu. Zostaje zaproszony przez Belmondo i jego przyjaciela Michelle Pikoli, wieczorem na małą lampkę wina. Lampek było trochę więcej, ale ten niezwykle uroczy wieczór Marek pamięta szczegółowo do dzisiaj. Podczas pobytu we Francji, niezwykle serdeczną pomoc okazał mu przedstawiciel Polskiego Fiata we Francji- pan Andrea Chardonet, który wynajął dla niego hotel w centrum Paryża na cały tydzień. Marek, niewyspany, zmęczony, bez stresów śpi w nim w pierwszą noc, 13-cie godzin bez przerwy. Ale tylko jedną noc (pozostałe odstępuje przypadkowo spotkanym Polakom). Po tak długim spaniu pod gwiazdami, i życiu

dostosowanym do zegara natury, nie może sobie znaleźć miejsca w hotelu. Woli spać przy swoim motocyklu. Na noc odbiera go z wystawy i śpi przy nim na Polach Elizejskich, przy katedrze Notre Dame czy też wieży Eiffla, wśród ludzi z całej Europy. Po 10-ciu dniach spędzonych w Paryżu, wraca przez Belgię, Holandię, NRF (była Niemiecka Republika Federalna) oraz NRD (była Niemiecka Republika Demokratyczna). Wzmacnia tempo jazdy, gdyż chce być już jak najszybciej w domu aby zdążyć na rozpoczęcie nowego roku akademickiego. Nie pamięta jak przejechał ostatecznie kilaset km przez Polskę. Myśli tylko o domu. Wreszcie pod koniec września 1973 widzi z daleka znajome mury Krakowa. Zamyka petlę podróży, podczas której przejechał 28 tysięcy km i zwiedził 19-cie krajów a przede wszystkim poznał wielu wspaniałych ludzi, bez których niejednokrotnie jego wyprawa mogłaby być niedokończona. Poznał inną niż europejska kulturę i obyczaje wschodu, które pozostawiły w nim wrażenia do dziś. Podróż do Indii (w tamtą stronę) zajęła mu 2 tygodnie, bez jakiegokolwiek łączności telefonicznej i kontaktu z najbliższymi. Dziennie przejeżdżał, jeżeli nie było nic ciekawego do zwiedzania po drodze, około 800-1000 km. Po szczęśliwie zakończonej podróży, pozostały mu wspomnienia, zdjęcia oraz gruba księga, z autografami różnych i sławnych ludzi oraz „obita” pieczętkami z różnych miejsc które odwiedził. Pieczętki straż granicznych też. W Polsce dostaje w nagrodę od Fabryki WSK w Świdniku, nowy motocykl marki WSK w wersji eksportowej, który wkrótce sprzedał. A jego oryginalny motocykl na którym odbył tą swoją pierwszą podróż, nie może być dzisiaj nigdzie ogladany. Został skradziony z piwnicy w Nowej Hucie, gdzie wówczas mieszkał. Pozostały zdjęcia i wspaniałe wrażenia. Pozostały także marzenia okolejnej wyprawie. Ale o tym w następnym odcinku o Marku Michel.

Od autora: Marek Michel chętnie odpowie na wszelkie pytania nasuwające się czytelnikom po przeczytanie tego i kolejnych artykułów.

Kontakt do Marka: (w USA)
Tel. (310)-9480219 lub (713) 705-0248
Email: michelmarek@yahoo.com
Kontakt listowny:
11342 Bandlon Drive
Houston, TX 77072

Informacje o Marku można także znaleźć na stronie internetowej
www.republika.pl/wsk_fenix/dookola.html

Kontakt listowny: (do rodziców Marka w Polsce)
Marek Michel
31-933 Kraków, Osiedle Handlowe 1 m57, Polska
Tel: 012-644-1108
Józef Kołodziej